

Zygmunt Hübner wyreżyserował w Teatrze Starym „Anabaptystów”. Wielkie widowisko ze sceniczną pompą i przepychem. Wszystko, co nadawało się do teatralizacji w sztuce Dürrenmatta — zwiokrotnił, przerysował i rozbudował w groteskę, kabaret, operę, teatr okrucieństwa, planchonizm... Uzyskał barokową wystawnosć, kalejdoskopowość stylów i chwytów, a zarazem teatralną umowność, bo trudno rozgrzywiającej się wypadki w takiej oprawie i stylistyce traktować inaczej niż poprzez sceniczną konwencją. Są ważne i blade, śmieszne i trywialne, dowcipne i płaskie, niby prawdziwe w swoim negliżowaniu historii, a równocześnie puste jak każdy dowcip, który usiłuje zastąpić poważną ocenę. Czy paradoksami można kompromitować mechanizmy historii i władzy? Tak. Na pewno. Rzadko to jednak się udaje na scenie. A tego chciał dokonać Dürrenmatt, ułatwiając sobie zadanie postacią Johanna Bockelsona, którego przekształcił w aktora i reżysera groteskowej farsy. Farsy władzy, rządzenia, historii.

W przedstawieniu krakowskim Bockelson (Zdzisław Maklakiewicz) otrzymał od reżysera pełną władzę nad teatrem. Gra i zgrywa się. Jest bezczelny i cyniczny. Wyuzdany i ascetycznie czysty. Świadomy swej zabawy w teatr, który go kreuje i wynosi, tworzy i stwarza. Grają zresztą wszyscy. Przesadnie, parodystycznie, z operową manierą, nadużywając głosu i gestu. Bo przecież w demonstrowanej farsie historii każdy chwyt jest dozwolony. Hübner w swoim przedstawieniu nikogo nie obdarza tragizmem i nikomu

nie przyznał racji. Jest u niego tylko jeden plan gry. Zajął sytuację farsową dla wszystkich. Żadna z postaci w tym szyderczym i kpiarskim misterium historii nie budzi zaufania, bardziej śmieszny niż wywołuje odruch sympatii czy współczucia. Poniewierany Mnich-humanista (Andrzej Kozak) i mądry biskup von Waldeck (Jerzy Nowak), bogacz, neofita anabaptyzmu Knipperdolinck (Antoni Pszonicki) i męczennik-prorok sprawy, Mathison (Bolesław Smela), cesarz Karol V (Kazimierz

BAROKOWY DÜRRENMATT

Witkiewicz) i księżęta tworzą ten sam barwny korowód aktorów, z których najlepiej swą rolę gra Bockelson. Za swą kreację otrzyma nagrodę. Przejdzie do lepszego teatru.

Hübner urządził feerię rozpasanej sceniczności z działem, które zaczyna widowisko hukami petardy; kunsztownie budował rewie bitew, tańców, tłumnych zgromadzeń i scen rodzajowych. Wspierał go scenografią Andrzej Cybulski, sięgając po ulubioną konkrętkę. Potrafił stworzyć estetyzujący zestaw rekwizytów i symbolicznych znaków nawet ze sznurów szubienicznych i żelaznych klatek, umocowanych na proscenium, takich, w jakich umieszco-

4
no ciała straconych anabaptystów na wieży kościoła św. Lamberta w Münster. Wszystko w tym przedstawieniu jest ładne — scena egzekucji także. Wszystko służy teatralności. A Knipperdolinck rozpięty na kole tortur i uniesiony na wyciągu zamyka tę nienaganną kompozycję plastyczną.

Przed kurtynę wychodzi biskup von Waldeck i mówi — „Ten nieludzki świat musi stać się bardziej ludzki. Ale jak?”. Właśnie. Od tego zaskakującego pytania można by zacząć spór z autorem i reżyserem. U Dürrenmatta słowa te wypowiedział postać, osądzając niejako w imieniu pisarza zły świat. U Hübnera biskup jest jednym z wielu aktorów, którzy odegrali rzecz o władzy, cynizmie, kłamstwie politycznym, frazesach i oszustwie... Ma to wyleć być ironia z podwójnym dnem? Świadoma, czy suflowana przez recenzenta, szukającego gwałtownie wytłumaczenia nieoczekiwanej pointy? Przyjmijmy ją za próbę wzbogacenia uproszczonej wizji świata, prezentowanej przez Dürrenmatta z dużym przecież talentem ironisty-szydercy.

Hübner, tworząc od początku do końca teatr z „Anabaptystów”, wymiła, sądził, niebezpieczeństwo zoagliowania płaską filozofijką — poważnie. Dürrenmattowski tekst — podawany pół żartem, pół serio, odbierany jako zabawa (miejscami wcale ucieszna) — przestał straszyć pozorami głębi, stając się pretekstem do pokazu sprawności scenicznej. Powie ktoś — mała pociecha. Dobre jednak i to. Osobiście zawsze wolę nawet najgorszy teatr niż kiepskie filozofowanie.

M.S.

67168